

Wydanie specjalne!

4 miliardy dolarów za polski węgiel

4 miliardy dolarów przy niósł już gospodarce narodowej Polski — węgiel. Tyle bowiem dewiz uzyskałyśmy za eksport polskiego węgla w latach wojennych. W okresie tym sprzedaliśmy 280 milionów ton węgla tj. trzy letnią produkcję całego polskiego górnictwa. Odbiorcami tego podstawowego polskiego artykułu eksportowego była większość krajów europejskich oraz niektóre kraje zamorskie.



W herbaciarni jednej z chińskich kolumn ludowych.
Fot. — CAF

W pawnej piwnicy przy Rynku

— Hallo! Hallo!... Bytom? Przerwali nam...
— Tak, słucham...
— Panie komendancie, zabezpieczcie wszystko... Ktoś do was w najbliższym czasie przyjedzie.
Wkrótce rozdzwoniły się inne aparaty.
— Zielona Góra?
— Tak, Prezydum...
— Tu Bytom Odrzański. Kierownik budowy...
A tymczasem sprzed gmachu Komendy Powiatowej MO w Nowej Soli ruszył „gazik”. Komendant Janiszewski zainteresował się sprawą osobiście.



— o —
Poniedziałek nie należy do dni, w których sklepy — z wyjątkiem spożywczych — obiegane są przez kupujących. Punkt apteczny mieszczący się najprawdopodobniej w siedzibie od wieków już sprzymierzonej z władztwem Eskulapa nawiadził „grypowicze” lub ich najbliżsi już wczesnym rankiem. Pod wieczór klienci zagłędali rządziej. Zjawili się tu również jeden z bohaterów niniejszego reportażu, mężczyzna postawny, w średnim wieku, o wyrazistych cechach. Nie dał jednak ani „Chinosyt-

W obronie godności żołnierskiej

„Pranie bielizny żon oficerów jest upokarzającą pracą dla żołnierza brytyjskiego” — oznajmił w Izbie Gmin poseł labourystowski G. R. Chetwynd. Niczym nieusprawiedliwione jest również używanie żołnierzy do pastowania podłóg i nianczenia dzieci.

Poseł Chetwynd mówił o przestarzałym systemie tzw. ordynansów oficerskich, którzy muszą wykonywać wszystkie prace w mieszkaniach oficerów.

Chetwynd złożył wniosek, aby do tego rodzaju prac używane były osoby cywilne.

Spiker parlamentarny pozostawił bez odpowiedzi skargę poselską.

Zwycięstwo fryzjerów nad... brodacami w mundurach

Fryzjerzy kubańscy odnieśli wielkie zwycięstwo nad bojownikami Fidel Casuro. Bo oto — jak donoszą z Hawany — szef sztabu armii rewolucyjnej Camilo Cienfuegos zgolił sobie broda i przystrzygł długie włosy.

Mniej więcej miesiąc temu związek fryzjerów kubańskich w specjalnie uchwalonej rezolucji błagał, że powstańcza moda — tzn. noszenie długich włosów i bród nierządnie jeszcze okazalszych bród od biblijnego proroka Dawida — doprowadzi brat fryzjerską do ruiny.

Obecnie — jak sądzą fryzjerzy kubańscy — za przykładem Cienfuegosa, pójdą i inni żołnierze ruchu „26 lipca” a w związku z tym ożywi się ruch w zakładach fryzjerskich.

Epilog ohydnej zbrodni w Gorzowie

MORDERCA 16-letniej dziewczyny ujęty przez milicję!

W ub. wtorek znaleziono w Gorzowie półwiotowane zwłoki kilkunastoletniej dziewczyny. Ciało ofiary, zapakowane w kartonowe paczki i papier rozrzucone było w dwóch punktach miasta — w pobliżu szpitala psychiatrycznego i na cmentarzu.

Więść o ohydnych morderstwie dokonanych na osobie dziewczyny, dziecka prawie, w lot obiegła całe miasto i wstrząsnęła społeczeństwem. Służba śledcza MO i prokuratura przystąpiły z miejsca do energicznych poszukiwań. Zmobilizowano arsenał wszystkich dostępnych środków sztuki śledczej.

Ustalono, iż zamordowana 16-letnia Leokadia Sniłko, uczennica VII kl. szkoły podstawowej w Gorzowie, w dniu morderstwa rano, uprowadzo na została sprzed szkoły przez niezidentyfikowaną osobę. Później stwierdzono, że w jednym ze sklepów papierniczych Gorzowa zakupiono większą ilość papieru do pakowania i kartonu. Śledztwo trwało dniem i nocą. Niejasne początkowo podejrzania nabierały zaczęły realnych kształtów. Gdy już wystarczająca ilość dowodów obciążają

(Dokończenie na str. 4)

1000 SZKÓŁ NA TYSIĄCLECIE

Na fundusz budowy szkół przeznaczają całkowity dochód z tego numeru „Gazety”:

Zespół redakcyjny, drukarze ZLG, pracownicy „Ruchu” i Poczty oraz załoga Fabryki Papieru w Skolwinie.



W Nowej Szkole

KUP TEN NUMER

- a dowiesz się że:

- Lekarz też człowiek
- Tajemnica lezki może być wykryta
- Jeśli przemyrasz złoto — lepiej zgłoś się sam do celnika
- Kiedy matką jest ciasnola a ojcem... to?

Prof. Sczaniecki profesorem honoris causa uniwersytetu w Grenoble

Profesor Prawa Państwowego Uniwersytetu Poznańskiego, Michał Sczaniecki otrzymał tytuł profesora honoris causa uniwersytetu Grenoble.

Profeta i dusze wszystkich królów i czołowiec

NAKŁAD: 60 000

GAZETA ZIELONOGORSKA

ORGAN KW POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOCZNICZEJ

Zielona Góra, dnia 8 marca 1959 roku

Cena 50 gr

120 MILIONÓW — NA SZKOŁY

Ogólnopolski Komitet Frontu Jedności Narodu i Krajowy Komitet Spo-

leczny Funduszu Budowy Szkół zorganizowały 6 bm. konferencję prasową poświęconą sprawie rozwoju akcji budowy Szkół Tysiąclecia.

W obecnej chwili załoga ok. 90 proc. wszystkich zakładów pracy i instytucji w miastach zadeklarowały swój udział w świadczeniach na rzecz SFBS. Ze względu na trudności organizacyjne brak dokładnych danych o rezultatach tej akcji na wsi, niemniej jednak można stwierdzić że ofiarność mieszkańców wsi nie jest mniejsza. Na dzień 15 lutego br. ogólna kwota wpłacona na konto SFBS wynosiła 120 mln. zł., co stanowi 100 proc. sumy przewidywanej na rok bieżący.

Jednym z najpilniejszych zadań jest obecnie ukończenie opracowania projektów różnych wariantów typowych szkół Tysiąclecia z uwzględnieniem warunków regionalnych, lokalnych tradycji.

(Dokończenie na str. 4)



„Pamiętasz była jesień mały hotel Pod Różami pokój numer osiem...”
SPIEWA...
Sława Przybylska

Nie wiem, czy słusznie mówiono, że naszą cełą narodową jest słomiany ogień. Historia ostatnich lat temu zaprzecza. Wykazaliśmy raczej sporo zdrowego rozsądku, powagi i umiaru w postępowaniu. Można by powiedzieć, że zdołaliśmy wreszcie wyciągnąć jakieś praktyczne wnioski z popełnionych w przeszłości błędów, a trudne lekcje życia nauczyły nas wiele. Przede wszystkim uświadomiliśmy sobie wartość systematycznego działania, wartość własnego trudu. Powierzchniowa błyskotliwość i fanfaronada, kawalerska szarża, pustostawia należą chyba już do przeszłości.

Każdy przeciętny człowiek zastanawiający się nad przyszłością naszego narodu musiał dojść do wniosku, że cudowne przemiany mogące spowodować deszcz manny z nieba należy wreszcie odstawić do lamusa. Musiał dojść do wniosku, że nie bierne wyczekiwanie a świadoma działalność nas w sztych może zapewnić rozwój materialny i kulturalny społeczeństwa.

Powiesz, drogi Czytelniku, że nie wszyscy doszli do takich wniosków? Nie wierzę, chociaż nie zaprzeczam, że są tacy, którzy mówią inaczej. Ale mówią bez przekonania, mówią dlatego, iż skłonni są przekładać tzw. stałość przekonań nad zdrowy rozsądek.

Deszliśmy już jednak do tego, że na ogół zwycięstwo odnosi zdrowy rozsądek. Przestaliśmy z upartością koźlą przeciwstawiać się rzeczom słusznym, tak jak przestaliśmy agitować za tym, co jest oczywiste. I w tym tkwi chyba sens zgodności naszych poczynań.

(Dokończenie na str. 4)



Krew zalewa otwarty brzuch pacjenta i ręce operujących lekarzy. Krew płynie bez przerwy i uniemożliwia operację.

Właściwie z góry było wiadomo, że chory ma obniżoną krzepliwość krwi na skutek leżenia zawału serca. W czasach dokładnych badań i analiz operator nie stał na ogół przed niewiadomą. Zdarzają się jednak rzeczy, których nie można przewidzieć. Mijał niemal godzinę operacji, a lekarze musieli tylko łamować krew z rany operacyjnej. Pacjent dostaje szoku. Podają krew i płyn przeciwwstrząsowy — kro-

„8-PF” czyta na głos...

Pracownicy Świerdowskiego Instytutu Defekologii Akademii Nauk Pedagogicznych RFSRR skonstruowali ostatnio tzw. foto fon — „8PF”. Aparat ten przystosowany jest do samo czynnego odczytywania na głos dźwięcznych tekstów drukowanych.

Zasada działania aparatu polega na tym, że światło odbijane od liter tekstu — wpada do bardzo czułego „elementu śledzącego”. Ten, dzięki specjalnemu urządzeniu, przeksztalca światło w dźwięk, specyficzny dla danej litery.

Aparat „8PF” stanowić będzie wielką pomoc dla niewidomych, którzy dotychczas mogli czytać tylko teksty „drukowane” pisaniem wypukłym, przy czym ilość takich tekstów jest niewielka. Natomiast dzięki aparatowi „8PF” będą mogli oni „czytać” każdą książkę.

Proces czytania przebiega praktycznie w następujący sposób: Niewidomy wkłada książkę do kasety aparatu. Urządzenie śledzące automatycznie porusza się nad stroną książki, oświetlona żarówką elektryczną, uważnie „wpatruje się” w każdy znak drukarski i wywołuje odpowiednie sygnały dźwiękowe. Podobnie jak ludzie o normalnym wzroku odczytują słowa ze skojarzenia zawartych w nim liter, niewidomy odczytuje je na podstawie skojarzenia dźwięków. Naużenie „8PF” do takiego odczytywania tekstu przy pomocy „alfabetu” dźwiękowego jest niemożliwe — trwa około 20 — 30 godzin. Aparat „8PF” są przy tym mało skomplikowane i przy seryjnej produkcji będą stosunkowo tanie.

Jak podaje „Promyślenia-Ekonomicznej Gazeta” w oparciu o te same źródła, co „8PF”, skonstruowano inne fotofony, przy pomocy których niewidomi uczniowie i studenci będą mogli przeprowadzać, podobnie jak ich koledzy widzący, doświadczenia laboratoryjne z fizyki, chemii, biologii, geografii, np. określać poziom cieczy w naczyniu, odczytywać wykresy, śledzić ruch Słońca i Księżyca itd.

płówką i skrzykawką do obu rąk.

Chirurg przystępuje do zasadniczej operacji. I znowu ślepy, bezrozumny przy padek. Diagnoza brzmiąca: „zrostowe, przewlekłe zapalenie otrzewnej”. Ale kto przypuszczał, że zrosły są tak niesamowicie: żołądek przesunięty w okolice podżebrza, jelita poskręcane.

No, powiedzmy — używając przenośni — pięse przy rosną do nosa — opowiada w kilka tygodni później chirurg.

Operacja trwała trzy godziny. Pacjent — niemłody mężczyzna, żyje i czuje się dobrze.

Ratowaliśmy go w końcu z obowiązku, bez cienia nadziei — mówi chirurg. — Aby wylegitymować się przed własnym sumieniem, że zrobiliśmy wszystko, co w ludzkiej mocy.

Operował ordynator w dziale chirurgicznego szpitala w Głogowie dr. ALOJZY BARNAS w asyście dr. ADAMA ŻWIRSKIEGO — dyrektora szpitala. Słuchając jego relacji trudno wyobrazić sobie salę operacyjną, sekundę i całe godziny, w których decydował się los mężczyzny cierpiącego na zapalenie otrzewnej. Wszystko wydaje się proste. Ani słowa o wojnie nerwów.

Pytałam doktora Barnasę o najbardziej dramatyczny przypadek w jego karierze chirurga. W kwietniu obchodzi dwudziestelecie pracy. Opowiedział historię z ostatniej chwili. Może to i prawda, że w życiu bardziej liczy się dzisiaj, niż sprawy dnia wczorajszego. A może nie na leży zadawać niemądrych pytań. Nie wiem.

Jeszcze rok temu wydarzeniem w głogowskim szpitalu była operacja wzrostka i... przepuklina. Ale ponieważ o nieobecnych jak o umarłych: albo nic, albo dobrze, dajmy spokój przeszłości. Obecny dyrektor dr. ADAM ŻWIRSKI skutecznie zwalcza kompleks prowincjonalnego szpitala.

Nawet jego gabinet o ścianach koloru turkusowego i popielatego błękitu z punktu rozczarowuje przybysza, który oczekiwał obrazu zacofanej prowincji. Gdyby ktoś powiedział, że dyrektor szpitala gdzie w powiecie jest prekursorem nowoczesnej sztuki urządzania wnętrz, uznano by to za dobry kawał. A jednak...

Na biurku doktora Żwirskiego leży plan przestrzennej zabudowy szpitala. Wokół budynków — cały park. — Pewien „wysoki” czynnik” z Ministerstwa Zdrowia oświadczył na ten widok:

Alicja Zatorybówna

LEKARZ- też CZŁOWIEK

— Gdzieś tam w jakimś Głogowie...

Jeżeli racy pan pamiętać z historii, Głogów... odpowiedział dr Żwirski.

W rezultacie na szpitalne inwestycje pięćdziesiąt dwa miliony złotych. W 1965 roku powstanie tu KRAJOWY SZPITAL ORTOPEDYCZNY. Na razie — trwają prace nad unowocześnieniem szpitala powiatowego.

Przebudowano salę operacyjną. Powstał gabinet fizykoterapii

Dyrektor szpitala w Głogowie stara się co dzień wiedzieć wszystkie oddziały, chociaż bezpośrednio interesuje go tylko fizjatria.

Wujku! — wołają chore dzieci. A wiejska kobieta na oddziale wewnętrznym wita dyrektora jak starego znajomego. Terapia dobrego słowa ma szczególne uznanie wśród pacjentów. Nie samą penicyliną żyje chory.

Wyobrażam sobie mniej więcej, a prawdę mówiąc



I punkt krwiodawstwa z prawdziwego zdarzenia. Nowa izba przyjęć, nowe lazienki, jedynym słowem kupa nowych urządzeń. Jest wreszcie uczelony zestaw narzędzi chirurgicznych i niby głupia rzecz: szafy-graty zamieniają się w przyzwyczajone sprężyny i siłniczek na szpitalną modłę. Fabryka Maszyn Budowlanych reperuje po znajomości blok sterylizacyjny. Ciasne jak nieszczęście laboratorium szpitala otrzyma wreszcie ludzkie pomieszczenie. Łada dzień będzie zainstalowany aparat EKG. Jeżeli weźmie się pod uwagę drobny fakt, że tak niedawno i ten i krew były na oddziale położniczym nieszczęśliwym luksusem, można ocenić organizacyjny talent dyrektora szpitala, który dokonuje swoistej rewolucji, na miarę Głogowa.

Kilka lat temu dr Adam Żwirski zjawił się na stanowisku w gabinecie naczelnego redaktora „Gazety Zielonogórskiej” podczas posiedzenia kolegium (wbrew błagalnym zakazom sekretarki) i rzucił na stół woniujące mięso i bielone ostatniej czystości. Były to rzeczowe dowody skandalicznych warunków bytowania pionierów w jednym z gospodarstw PGR. Ba, dr Żwirski doprowadził do zwężenia pasji „zdjął” kierownika PGR, który okradł pionierów z żywności i nawet trochę obawiał się następstw swoich nie najbardziej prężnych poczyną, jako że z administracją gospodarstw rolnych miał niewiele wspólnego.

Też sam dr Żwirski prezentował swoje umiejętności w filmie „GODZINY NA DZIEI”, dublując rolę lekarza w scenie operacji.

Po latach burzliwych a górnych użera się z firmą budowlaną o terminowe pokrycie dachu i chce za wszelką cenę otyknąć po rządnie odrapany fronton szpitala. Czas się zmienia i my się w nich zmieniamy — powiedział nie bez racji starożytny filozof. Z zawodach lat pozostała doktorowi Żwirskiemu tak zwana pogoda ducha. Lekarze bywają nierazdoko opryskliwi. Nie dziwić się im. Trudno o promienny uśmiech wobec sto pierwszego w ciągu dnia pacjenta. Byleby była rzetelna diagnoza.

jest najstarsza siostra dziesięciorga rodzeństwa i chyba dlatego marzenie życia: pielęgniarska, nie mogło stać się rzeczywistością. Musi już teraz zarabiać, zanim zdążyła się czegoś nauczyć po ukończeniu szkoły podstawowej.

Panna Damoiseux, młodzienica, ładna blondynka z zadziornością patrzy na dziewczęta w pielęgniarstwie czepkach. Raz pozwolono jej być przy zabiegu. To było przeżycie: Rodzaj wtajemniczenia. Może z czasem awansuje w hierarchii szpitalnej.

Prawdziwe pielęgniarki mieszkają na poddaszu szpitala po trzy, po pięć. W pokojkach czyste. Ale na pewno nie tak wyglądają marzenia o samodzielnym życiu.

Na ścianie fotografia dziewczyny z warkoczem i żołnierza — pod spodem wzruszający podpis: my się kochamy. Zanim jednak kojącą chłopców w mundurze stanie na ślubnym kobiercu, jest wspólnie w pokojku i zapach szpitala od rana do nocy. A kiedy dr Barnas przeprowadził operację trzustki, trzeba było dyżurować przy jednym pacjencie bez przerwy przez całe ty-

Z. Szydłowski

TAJEMNICA TECZKI K-5/VII/46

— 1 —

Pomysłowość świata przestępczego przerasta o głowę fantazje autorów powieści kryminalnych. Funkcjonariusze służby śledczej MO i organów prokuratury stają nierzadko w obliczu tak skomplikowanych zagadek, że pojęcie zbrodni doskonale, opiewane przez klasyczną literaturę sensacyjną Agatę Christie, jest dziecięcą igraszka.

Polski świat przestępczy, ten przedwojenny i powojenny, unika w zasadzie tzw. „mokrej roboty”. Doświadczony przestępca, hochsztapler i oszust jak ognia wystrzeżać się będzie kastetów, noży, łomów i innych narzędzi zbrodni, prowadzących pod katowski stry czek. W odróżnieniu od amerykańskich gangów i włoskich mafii, rodzimy świat przestępczy, pomijając nowicjuszy i zwyczajnych chuliganów, zrezygnuje ra-

— 2 —

czej z łupem, niż doprowadzi do śmiertelnego rozlewu krwi.

Dzieje niezwyklej afery, która miała miejsce w 1946 roku, na północno-wschodnich rubieżach kraju najlepiej charakteryzują oblicze polskiego świata przestępczego. Emerytowany funkcjonariusz MO, którego relacja stała się kanwą niniejszej opowieści o strzelcu sobie nazwy miejscowości oraz nazwiska osób biorących udział w akcji.

Latem 1946 roku na Białostoczczynie, słoneczne i upalne, przyniosło wzrost aktywności band reakcyjnych. „Huzar”, „Orlik”, „Miot”, banderowy — wszystkie te szumowiny grasowały wśród jezior i lasów, ślejąc terror i zniszczenie. Cały wysiłek organów władz bezpieczeństwa i milicji obywatelskiej skierowany był w owym gorącym czasie

— 3 —

przeciwko faszystowskim niedobitkom. Zjawisko zupełnie normalne i nie podlegające dyskusji.

W sobotę, upalnego lipca, po południu, sołtys wsi N. otrzymał urzędowe pismo, zaopatrzone w pieczęcie wojewody, numer oraz jaskrawy stempel — „Ścisłe tajne”, po przeczytaniu i wykonaniu — zniszczyć”.

Sołtys niezdecydowanie miał ko pertę.

— Ki diabeł znowu? — Z tego rodzaju dokumentami nigdy jeszcze nie miał do czynienia. Koper tę dostarczył przed chwilą motocyklowy goniec z B.

Sołtys wszedł do chałupy, siadł przy stole i ostrożnie rozzerwał zółta kopertę. Chwilę sylabizował nieporadnie. Nagle zerwał się, za kłaj soczycie i wybiegł na wieś.

— 4 —

Wieść rozeszła się lotem błyskawicy. Wymiana pieniędzy...

Z treści urzędowego pisma wynikało niezbicie, że na mocy rozporządzenia najwyższych władz państwowych do wsi N. przybędą pełnomocnicy w celu dokonania wymiany obowiązującej w waluty na inne biletów bankowe. Wy mianę należy przeprowadzić niezwłocznie i dyskretnie, z uwagi na bliską działalność reakcyjnego podziemia. Obowiązek powiadomienia mieszkańców spoczywa na sołtysie, który powinien zabezpieczyć odpowiedni lokal we wsi i zagwarantować przeprowadzenie akcji w terminie nie dłuższym niż półtorej godziny. Pełnomocnicy muszą jeszcze przeprowadzić wymianę w kilku sąsiednich miejscowościach i w związku z tym, zalecany jest najwyższy pośpiech.

Sołtys był człowiekiem zdysocy-

więcej, sceptyczną miną lekarzy.

— Może wprowadzić psychoanalizę w powiatowym szpitalu?

Szpital w Głogowie nie ma anestetyzisty. Narkoza wygląda tak, jak w chwili, gdy po raz pierwszy na świecie uspijono operowane go pacjenta. Mimo wszystkie rewolucyjne zmiany nie można raczej twierdzić, że głogowski szpital powiatowy niewiele odbiega od kliniki. Chociażby... zamiast 72 pielęgniarek jest zaledwie 45.

BOŻENA DAMOISEUX pracuje w izbie przyjęć. Jej dalecy przodkowie mieszkali — jak nietrudno się domyśleć — we Fran-

godni. Polska literatura medyczna notuje trzy udane operacje w wypadku martwicy trzustki. Nie sądzę, że wiedzą o tym wszystkie dziewczęta w białych czepkach.

Ostatnio dr Żwirski wystarał się o barak, w którym urządzi mieszkania pielęgniarek.

Złożył też kurtuazyjną wizytę dyrektorowi szkoły pielęgniarstka w Legnicy, proponując jej małą kawę. Uroczą pani sądziła, że ma zaszczyt gościć przedstawiciela Ministerstwa Zdrowia. Rewizor z przypadku musiał wyjaśnić cel wizyty: absolwentki szkoły do Głogowa! Jakże mogła odmówić.

W polskim szpitalnictwie brak salowych. Głogów nie stanowi wyjątku.

(Dokończenie na str. 4)

MAŁŻEŃSTWA URODZENIA

Problemy demograficzne nie znikają ze szpalt gazet. Zajmują się nimi ekonomiści, gdy planują wzrost gospodarki narodowej i ustalają proporcje podziału dochodu narodowego, socjologowie i pedagodzy. Poniżej publikujemy garść informacji z problemów demograficznych Polski i innych państw.

W 1956 roku ludność świata wynosiła 2 miliardy 737 milionów osób. Polska osiągnęła w 1956 r. 29 mln osób. Na dzień 31 grudnia 1957 r. było w Polsce 38,2 proc. mężczyzn i 21,8 proc. kobiet. W składzie ludności najmniej mężczyzn jest w NRD — 44,8 proc. Australii — 46,5 proc., NRF — 47,1 proc., zaś najmniej kobiet w Australii, ChRL, Indiach i Kanadzie.

DRUGIE MIEJSCE W ZAWIERANYCH MAŁŻEŃSTWACH

Po Węgrzech, Polska zajmuje drugie miejsce w świecie w ilości zawieranych małżeństw. Na tysiąc mieszkańców w 1957 r. zawierano w Polsce 9,1 małżeństw. Najmniej małżeństw zawarto w 1957 r.: w Czechosłowacji — 6,8 na tysiąc mieszkańców. Końcowe miejsca w świecie zajmują też Francja i Szwecja po 7 małżeństw, Norwegia 7,1 i Australia 7,7 małżeństw na tysiąc mieszkańców.

RODZI SIĘ WIELE

Podobnie, jak w ilości zawartych małżeństw Polska zajmuje 2 miejsce w świecie w zakresie urodzeń żywych dzieci. Na tysiąc mieszkańców wskaźnik ten sięga 27,5 dziecka. Wyprzedza nas jedynie Kanada osiągając 28,6 urodzeń żywych. Najniższe wskaźniki w urodzeniach żywych dzieci posiadają: Szwecja — 14,6, NRD — 15,6 i Włochy — 16,5 na tysiąc mieszkańców. Jeden z najwyższych wskaźników posiada USA — 25,0, Australia — 22,9 i Portugalia — 23,9 urodzeń żywych na tysiąc mieszkańców.

W zakresie zgonów najwyższy wskaźnik w świecie wykazuje Austria — 12,7, Belgia — 12,0 i Wielka Brytania — 11,5 zgonów na tysiąc mieszkańców. Najmniejsza ilość zgonów jest w Holandii 7,5, Grecji — 7,8 i Kanadzie — 8,3 zgonów na tysiąc mieszkańców. W Polsce wskaźnik ten wynosi — 9,5.

Najmniej niemowląt umiera w Szwecji — 17,0, Holandii — 19,0, Australii — 21,7, Wielkiej Brytanii — 24,5 oraz w USA — 26,0 zgonów niemowląt na tysiąc urodzeń żywych. W Polsce ilość zgonów niemowląt spadała z 108,4 w rok- 1949 do 71 w 1956 r.

* Źródło: Rocznik Statystyczny 1958 r.

Miejski Handel Detaliczny

Artykułami Przemysłowymi

w Zielonej Górze

w celu lepszego zaopatrzenia szkół w artykuły papirnicze i szkolne wprowadził dodatkowo do sprzedaży w w artykuły w sklepie nr 30 — Osiedle Wązów oraz w Domu Dziecka przy ul. Bohaterów Westerplatte.

K-3

TAJEMNICA TECZKI K-5/VIII/46

- 5 -

plinowanym. W ciągu godziny mieszkańcy N. wydobyliz różnych zakamarków posiadają gotówkę i głośno komentują najnowsze wydarzenie, zbierali się z całymi rodzinami przed remizą ochotniczej straży pożarnej.

Nim zaczęło się ściemniać, na wiejskiej drodze w obłokach kurzu, pojawił się stalowo-szary „Mercedes” i motocykl BMW z przyczepą. Remiza znajdowała się przy głównej drodze. Już z daleka widać było tłum. Oba pojazdy zatrzymały się przed wejściem.

Na maskę samochodu wskoczył zrecznie młody człowiek w berecie, bryczesach i butach z cholewami.

— Obywatelu! Prosimy o zachowanie spokoju i porządku. W ciągu godziny, wymiana pieniędzy będzie uskuteczniła. Wszyscy

- 6 -

staną w kolejce i ułożą banknoty według wartości. Wymiana odbywać się będzie w relacji 100 do 1 czyli za sto złotych stare otrzymuje się jeden złoty nowy. Prosimy się pośpieszyć, ponieważ dalsze wycieczki czekają, a my nie możemy jeździć tu po nocy.

Z samochodu wynoszono już podłużne skrzynki. W remizie znajdował się długi stół i kilka ław. Trzech pełnomocników zasiadło przy stole rozkładając wydobytą ze skrzynek nową banknoty. Pozostali zajęli miejsca na zewnątrz budynku. W samochodzie pozostał tylko szofer. Silnik „Mercedesa” cichutko pracował. Motocykl również był na chodzie.

Tymczasem w remizie rosła sfera wymienionych banknotów. Do opróżnionych skrzynek wkładano pięćsetki, setki, pięćdziesiątki, dwudziestki i inne banknoty.

- 7 -

Urzednicy pracowali bardzo sprawnie. Oddawanych do wymiany banknotów prawie wcale nie liczyli. Rzucali tylko okiem na paczkę, coś notowali na skrawku arkusza papieru i błyskawicznie wydawali nowe bilety.

Przed remizą mieszkańcy N. oglądali pieniądze. Nowe banknoty były małego formatu. Stuzłoto wy banknot był nawet nieco mniejszy od jednodolarówki. Ładny rysunek, numery, brak było tylko znaków wodnych i papier był taki jakis gruby. Ale wiadomo, że zaraz po wojnie, czasy ciężkie, kto by tam bawił się w takie subtelności jak znaki wodne i cienki papier. Tak w każdym razie tłumaczyli podnieconym mieszkańcom N. urzednicy, prowadzący wymianę.

Akcja powoli dobiegała końca. Wysłannicy władz finansowych

- 8 -

coraz niecierpliwiej spoglądali na zegarki i wyraźnie szykowali się do odjazdu.

— Obywatelu, prosimy o poświęcenie. Mamy jeszcze wymianę w trzech miejscowościach. Tak nie można. Tam przecież również ludzie czekają i niecierpliwą się. Prędkiej, prędkiej...

Jedną skrzynkę ze starymi banknotami wnoszono już do „Mercedesa”. Na dworze zapadał mrok. Mieszkańcy N. głośno dyskutowali i dzielili się swymi spostrzeżeniami.

Gdy ostatni banknot znalazł się w skrzyni, pełnomocnicy wyszli na drogę. Cała akcja trwała w sumie około pięćdziesięciu minut. Kierownik ekipy, wysoki starszy pan o zamysłonym i smutnym obliczu wyraził z tego powodu swoje uznanie całej wiosce i soltysowi. Obiecał nawet umieścić to

IRENA SOLIŃSKA

(Dokończenie ze str. 1)

jana jest nie zaprawa murarska lecz glina. Małe nie dopatrzenie. Byłe zacieki i kawałki muru można wyluskiwać jak pestki z wiśni. Lecz jak wspomnieliśmy dla bytomiaków wszystko to razem nie nowina.

Zdarzyło się jednak w pochmurny dzień lutego coś, co kazalo prawie dwu tysiącom pięćset mieszkańcom świetnego ognia grodu, wylaczając oczywiście odeski, zupełnie innym okiem spojrzeć na milczące pomniki dawnych czasów, coś, co mówią krótko zelektryzowało miasto. Co światlejsi obywatele zatrzymywali się przed mijaną do tego obojętnie kamienną tablicą upamiętniającą szczyt śliwy przemarsz przez miasto to Kozaków w latach 1612-1622 wmurowaną nieopodal drzwi apteki. Nagle odległe fakty i daty nabrały nowego znaczenia. Niektórzy bardziej praktyczni ludzie poczęli się interesować ceną kruszców. Na wszystkich czterech rogach Rynku gromadziły się grupki starych i młodych. Przyczyszone rozmowy, gestykulacja, tajemnicze półsłówka.

kopie pod prawą ścianą (stojąc twarzą w kierunku okna/ oznaczają „historyczne” miejsce odkrycia.

Spróbujmy teraz na podstawie różnych relacji niekiedy różniących się od siebie, choć w przybliżeniu uchwycić to, co stało się w ciasnej piwniczce w domu przy Rynku nr 23 dnia 9 lutego br. w godzinach przedpołudniowych.

Grupa murarska wraz z „pomocą” pracuje przy wzmocnieniu ścian i stropów. Trzeba zrobić wykopy aż do fundamentów. Pod prawą ścianą kopie Henryk Kardzis. Wtem łopata zgrynęła, natrafiając na twarde przedmioty. Kamień, nie

— Pokaż, pokaż — wyciągając ręce wołają zaciekawieni robotnicy. Kardzis chcąc się uwolnić od naga-bywań wchodzi do sąsiedniej piwniczki. Tu odkrywa dzbanek i wyciąga małe kiczawiną. Lecz kole-dzy nie dają za wygraną. Już są przy nim. Wysypują wspólnie zawartość, oglądają, delibierują... Grupa ciekawskich rośnie z każdą sekundą. Wieść o „skarbie” roznosi się błyskawicznie po całej budowie. Ten i ów pcamacal obejrzał i zabrał sobie „na pamiątkę” co ładniejszą monetę. Wreszcie odezwał się jeden z pracowników: Trzeba zanieść do biura. Inżynier mówił, że jak się coś znajdzie, trzeba przynieść...

Asysta jaka towarzyszyła przynosinom dzbanka do



dając do zrozumienia, że niejedno wprowadzie wiedzą, ale...

A teraz kilka realiów. W dzbanku znajduje się 976 sztuk monet małych, 190

nowosolskim muzeum, mu-szą ocenić go naukowcy. Moneta „najmłodsza” pomo-że ustalić przybliżoną da-tę zakopania.

Trudno dziś także powie-dzieć, czy „skarb” zakopał jakiś bogaty mieszczanin w swej spiżarni w burzliwych latach Wojny Trzydziesto-letniej, kiedy to ziemie śląskie przechodziły z rąk do rąk. Mamy wzmianki i w 1639 r. Szwedzi z impe-tem wtargnęli na Śląsk wy-pierając Habsburgów. Ma-my wzmianki o przeraźliwej ruinie miast, gwałtach i mordach dokonywanych przez obie strony. A może — jeśli znajdą się monety młodsze, jakiś obywatel miasta Bytomia ukrył swe oszczędności między konfi-turami i zsiadłym makiem na wieść o najeździe Szwedów na Polskę w 1655 r. Tak czy owak bezimienny właściciel skarbu nie ku-pił za ciupane grosze nas-ępnej kamieniczki w Ryn-ku, ani nie wyposażył có-rek. Za to bytomiakom p-trzech wiekach sprawił ci-nieco emocji.

W PEWNEJ PIWNICY PRZY RYNKU

kamień? Jeszcze kilka ru-chów i daje się słyszeć wy-raźny brzęk pieniędzy.

— Spokój panowie, zna-lazłem skarb! — głos Kar-dzisa brzmi uroczyście.

pobliskiego biura Pracowni Konserwacji Zabytków przy pominała procesję...

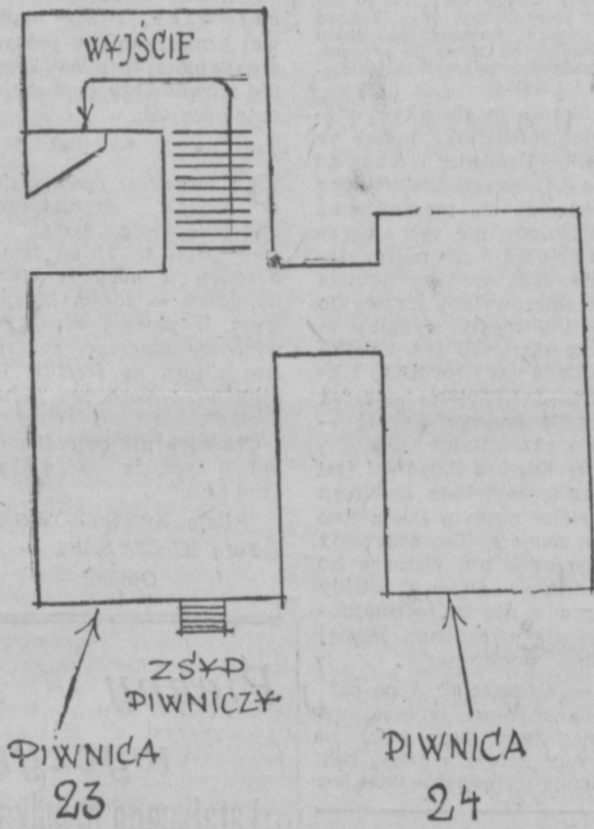
Co było potem, możemy się domyślać, rzuciliśmy raz jeszcze okiem na po-zątek raportu. Komen-dant Janiszewski zebrał ro-botników, powiedział kilka słów o muzealnej, a nie u-żytkowej wartości znalezi-ska i poprosił kolekcjoner-ów o zwrot monet. (Niektó-ry mają za to żal do MO). „Skarb” został zabezpieczo-ny. Znalazca Kardzis oddał złotego dukata i złotego imperiała (łączna waga 6 gramów). Mgr Dąbrowskiemu — Wojewódzkiemu Kon-serwatorowi Zabytków Ar-cheologicznych, gdy prze-ko-nał bytomian o naukowej wartości odkrycia, oddano dalsze 15 monet.

Trudniej byłoby się do-myśleć innych szczegółów towarzyszących odkryciu. Otóż jak dowcipnie zauwa-żył inż. Kocolowski, po zna-leżeniu dzbanka obie są-siednie piwniczki zostały gruntownie przekopane, jak pod zasiew jarzyn (znalezio-no zresztą kilka pustych na-czyn). A stugębna plotka po dziś dzień żyje ze „skar-bowego” procentu.

— Tam nie był tylko je-den garnek z pieniędzmi — fajają do zrozumienia „wyszys-kowiedzący”...

— A w tej szmatce jesz-cze było inne „złoto”, tyl-ko ciich...

— Jeden mówił, że „skarb” jest dziś wart 579 tysięcy złotych. W Zielonej Górze się dowiedziałem... Są również tacy którzy przybierają pozę filozofa



Czasem tylko wrywało się komus głośniej.

— Sam słyszałem, dwa dwieście dawali...

— Niemożliwe, co ga-dasz?...

Ale po co uprzedzać fak-ty. Lepiej odszukajmy wcis-niętą, w narożnik kamie-niczki oznaczoną numerem 23. Dość długie wejście, trzy schodki w dół, mały zwrot, następne osiem stop-ni, zakręt w prawo i... przed nami czeluść piwni-cy. Dalsze omszałe wykrus-żone stopnie zmuszają do ostrożności. Na szczycie majster Kafel ma dobrą lampę. Wąziutkie okienko umieszczone gdzieś w gó-ry pod sklepieniem skąpi świa-ła. Ledwo widać spadzi-stą powierzchnię piwni-czego zsypu. Gdyby nie na-sza oświetleniowa samowys-tarczalność, trudno byłoby dojrzeć luki sklepień, a zu-pełnie wykluczone dostrze-żenie dwóch masywnych haków, tkwiących w mur-ze nie wiadomo w jakim celu. Nastrój, że tak po-wiem, podniecający. Już fantazja przywodzi na myśl sznury i pętle. Brrr! (Czort wie, może to nie fan-tazja?)

Wtem inżynier Kocolow-ski towarzyszący wyprawie oznajmia rzeczowo: — To tu. Trzy cegły leżące na świeżo zabetonowanym wy-

Wszyscy rzucają robotę i wlepiają wzrok w niewielki, może dwulitrowy dzbanek przykryty szczelnie przykrywką. Z wybitego otworu wysypują się zaśniedziałe monety.

Z obłoków na ziemię

Pomnik i użyteczność

Ni kt nie szczędzi pieniężnych datków i pracy na rzecz Szkół Tysiąclecia. Przywykło się mówić, że będą to naj-wspanialsze pomniki wystawione w roc-znicę tysiąclecia naszej państwowości. Pomnik to symbol, a tu chodzi prze-cież o budynek przystosowany do ściśle okre-szonych potrzeb. Jakie będą te szkoły? Czy znajdą w ich konstrukcji wyraz osiągnięcia architektoniczne bieżącego stulecia, czy naprawde ułatwią pracę i byt nauczycielowi, czy pomogą lepiej re-alizować program nauczania?

Chcę na to pytanie odpowiedzieć na własnym przykładzie. W Lginiu, powiat Wschowa ma być wybudowana nowa szkoła dla obwodów Lgini — Hetmanice, przeznaczona dla 220 uczniów. Miejs-co-wa ludność zadeklarowała w usługach i gotówce około 50 tys. złotych oprócz opodatkowania się (2 proc. od przycho-dowości gospodarstwa). Każdy z ofia-rodawców, a ja również, ciekawy jest jak szkoła ta ma wyglądać. Wybrałem się więc do Biura Projektów w Zielonej Górze, aby obejrzeć plan i wywnioskowa-lem, że będzie to:

Budynek szkolny o płaskim, betono-wym dachu, 5-izbowy, szósta klasa bę-dzie jednocześnie pracownią. Przewidu-je się także pokój na bibliotekę, pokój nauczycielski, kancelarię oraz szatnię.

Obok szkoły budynek dla nauczycie-la — dwa pokoje z kuchnią i łazienka (dach znowu niestety płaski). Pomiesz-czenia gospodarcze na opał dla szkoły i nauczyciela, ubikacja i na tym wia-ćwie koniec.

Zastanówmy się, czy taka koncepcja architektoniczna rzeczywiście odpowia-da stawianym wymaganiom. Mam kilka py-tań pod adresem projektantów: Gdzie prowadzić zajęcia wychowania fizyczne-go? Gdzie przechowywać pomoce nauko-we, a nawet zapasowe lub przeznaczone do naprawy sprzętu szkolne? Czy nie potrzebna jest wreszcie jakaś sala dla różnych szkolnych uroczystości, zebrań itp?

Druga sprawa to mieszkanie dla nau-czyciela. Projektując na wielkomijski sposób łazienkę zapomniano niestety, o tym, że potrzebne jest poddasze do su-szenia bielizny, że nauczyciel wiejski, bardzo często korzysta z gospodarstwa rolnego, utrzymuje inwentarz, aby przy

szczupłych jeszcze poborach zapewnić sobie niezbędną równowagę domowego budżetu. Dlaczego więc o tym nie po-myśleli projektanci?

Wreszcie sama lokalizacja obiektu. W naszym przypadku nie planuje się go niestety umieścić w środku obwodu szkolnego, a tak właśnie powinno być. Warjo byłoby rozpatrywać takie kwestie z powołanymi komitetami budowy szkół. To nie są tylko instytucje powołane do organizowania zbiorów piędnych, ale inwestorzy, wyraziście woli ofiarodaw-ców.

Kazmierz KACZMAREK
Hetmanice
pow. Wschowa

List ob. Kaczmarza podpisał 35 miesz-kańców zainteresowanych budową no-wej szkoły. To dobrze, że interesują się oni, co i jak za ich pieniądze będzie zbu-dowane. Postulaty wydają się dość isto-tnie i warte, aby rozpatrzył je Zarząd Inwestycji Szkolnych Zielonogórskiego Kuratorium,





Będzie nowa większa i ładniejsza

Kuchnia. Do czego może służyć? Każde dziecko powie, że do gotowania smacznych śniadań, obiadów, kolacji. Królestwo pani domu. Jak wszędzie, i tu — reguła ma luki, wyjątki. W Kisielinie Starym dzieci powiedzą co innego: „U nas w szkole w kuchni to my mamy gabinet biologiczny”.

Gdy je „spytają” o kopię pilkę, pada odpowiedź, że na drodze publicznej, a placu szkolnego nie mają w ogóle. Nie ma wokół budynku miejsca. Ćwiczenia gimnastyczne od bywały się kawałek drogi od szkoły, pod laskiem.

Kiedy się po południu przyjedzie do Kisieliny i wejdzie do którejś z klas, to co tu dużo gadać, nie wygląda imponująco. Ale jakże może być inaczej, skoro działka uczy się na dwie zmiany? Duszą się w szkole. Murzy za klasę już dla 12 wychowanków uczących się obecnie. Co dopiero będzie jak odejdzie obecna, mała klasa siodma klasa, złożona zaledwie z 12 uczniów i przyjdzie w wrze słu klasa pierwsza, a w niej przeszło czterdziestu uczniów. Gdzie się pomieścą? Nie ma takiej sali. Trudno, będą się gnieździć, niemal jedno na drugi gim i jakos się będą uczyć. Tyłko, że nauka w takich warunkach jeśli nawet potrwa tylko rok, może solidnie podderwać zdrowie nauczycieli i dzieci. Albo też potrzebna będzie jeszcze jedna zmiana.

Jest źle, nawet bardzo źle. A jednak dzieci kisielińskie są uśmiechnięte, wesole. Pewnie, że łobuzują, gonią, biją się między sobą — jak wszędzie. Przy wilej wieku. Myślą jednak i o nowej szkole.

SKOŁA JEST W PLANIE. Budowa ma się rozpocząć w roku bieżącym. Łada dzień, na wiosnę. Miejsce wyznaczono, pomiary dokonane, dokumentacja na ukończeniu. Nowa szkoła stanie tam, gdzie teraz prowadził się ćwiczenia fizyczne. Na placu pod laskiem. Będzie miejsce i na boisko sportowe i na plac zabaw. Sala będzie duża, przestronna. Gabinet biologiczny przeniesie się z kuchni, biblioteka — z kłitki, gdzie trudno się obrócić, a fizykochemiczny gabinet też wyniesie się z klasy.

Wszystko to ma być gotowe do użytku już we wrześniu 1960 r. Czy Zielonogórskie Przedsiębiorstwo Budowlane dotrzyma dziełom słowa? Różnie się o tym mówi — o terminach i o planach i o budowie. Niejedyn termin został zawałony, niejedna szkoła nie została oddana w terminie.

Uczniowie nie czekają. Czwarta klasa oddaje co miesiąc na Fundusz Budowy Szkół średnio po 50 złotych. Mały przekazywał na ten cel swoje oszczędności. Nie tylko ci z klasy czwartej, wszystkie dzieci, z całej szkoły.

Należy przypuszczać, że czeka na szkołę w Starym Kisielinie całe społeczeństwo. Radni Gromadzkiej Rady Narodowej wroczą: „Będzie — nie będzie”. Dowiedziałem się w Prezydium, że do tego ogranicza się zainteresowanie starszych szkół. O jakimś czynie społecznym, przy jej budowie, robotnicze, poważniejszej składek na urządzenia dla szkoły, na wyposażenie gabinetu i biblioteki — nie ma mowy. Czy nie pobudzi kisielińskich mieszkańców Pszczewa, których czyn i wkład pieniężny na budowę szkoły we wsi przekroczył wartość 100 tys. złotych?

Może znaczą o tym myśleć, gdy zobaczą, że budowa się już zaczęła?

W. Br.

LEKARZ-

(Dokończenie ze str. 2)

Jakże wytłumaczyć, że wynoszenie nocników, które w języku szpitala nazywa się delikatnie basenami, to również posłannictwo w służbie cierpiącego człowieka. Bardziej przekonująco cym argumentem jest podwyżka płac i stolowanie podczas godzin pracy. W powiecie rolniczym, w rodzaju Głogowa, co roku następuje kryzys kadry podczas prac polowych. Cierpi na tym pacjent, który nie może się doprosić na leżnej opieki. Przeklina lekarzy, szpital, władzę ludową i socjalizm. Cierpiący człowiek bywa niesprawiedliwym w ocenie ludzi i świata.

Lekarz to też człowiek. Tak twierdzi ordynator oddziału ginekologiczno-położniczego w Głogowie dr EDWARD JAWORSKI i wierzę mu na słowo. Spytałam:

— Ile pan „urodził” w ciągu ostatniej doby?

— Od 8 rano wczoraj, do 11 przed południem, dziś — dziewięćcioro... Jeden poród miednicowy.

W Głogowskim szpitalu

też CZŁOWIEK

rodzi przeciętnie co miesiąc 150 kobiet.

Dr Jaworski, specjalista II stopnia, jest diabelnie wymagający wobec siebie i innych. Punktualnie o ósmej zaczyna obchód oddziału. Potrafi nie spać godzinami. I w ogóle wyobraża sobie, że w Głogowie można zrobić klinikę — mówią złośliwi.

— Czy mógłby i pan, doktorze, opowiedzieć o szczególnie trudnym przypadku, o czymś, co pamięta się na zawsze?

Dr Jaworski odpowiada bez zastanowienia: — To trzeba przeżyć.

W nocy był poród miednicowy. Dziecko żyje.

W położnictwie ostatnich lat nie ma wprawdzie problemu: matka czy dziecko? Jeżeli rodzica zjawia się na czas w szpitalu, poród musi być udany. Chyba, że... jest to poród miednicowy, przy którym z reguły śmiertelność dzieci dochodzi od 25 do 30 procent. Zjawisko z pogranicza fizjologii i patologii.

Skądże mogła o tym wiedzieć młodziutka matka ze wsi? Urodziła dzięki Bogu szczęśliwie. Gdyby skończyło się inaczej winę ponosiłaby nie tyle opatrność, co raczej lekarz. Kto wie, czy kobieta nie skierowałaby sprawy do sądu, a biegły wydałby oświadczenie: NIE MA UCHYLENIA W SZTUCE LEKARSKIEJ. Nikła satysfakcja dla lekarza. Lekarz — też człowiek.

Dr Edward Jaworski jest zdania, że lekarz powinien udzielać chorem jak najlepszej pomocy. Ten oczywisty obowiązek nie wymaga komentarzy. Praca służby zdrowia nie może znajdować się w centrum jawnej opinii publicznej.

— W gazecie? A po co? Nie chciałem cytować nieśmiertelnego Boysa, który na zarzuty lekarzy z jakiej racji zajmuje się pediatrią skoro jest

literatem i na zarzuty literatów jakim prawem pisze, jeżeli jest lekarzem, odpowiadał: Wobec tego jestem dziennikarzem i wolno mi znać się na wszystkim.

Nie chcę przez to powiedzieć, że znam się na medycynie. Ale śmiem twierdzić: Judyń przetrwał do roku 1959. Przybrał co prawda kostium epoki — cynizm. Judyń 1959 nie uznaje prywatnej praktyki lekarskiej

i uważa, że przyszłość należy do społecznego lecznictwa.

Kiedyś chorzy z okolic Głogowa woleli na wszelki wypadek leczyć się w szpitalu w Lesznie. Teraz — trudno pomieścić pacjentów. Zdarza się, że leżą na polowym łóżku w łazience. Specjaliści wysokiej klasy decydują o randze szpitala. Co prawda dr Jaworski chce uciekać z Głogowa. Proponują mu stanowisko adiunkta w łódzkiej klinice.

Jest potrzebny w Głogowie. Może bardziej niż w Łodzi tworzy tu oblicze epoki. Ziemia Zachodnie. Aktywizacja. Przyszłość miasta miedzi. Wszystko to duże rzeczy. Ale lekarz — też człowiek. Pracy naukowej i mieszkania w jednym z największych miast kraju nie zrównoważy prowincjonalny szpital.

Dr Jaworski opowiedział jednak dramatyczną przysgodę swego życia:

— „Było to 11 lat temu. Szedłem w nocy ze stacji do domu — torem kolejowym. W pewnej chwili, nie wiadomo dlaczego, zobaczyłem z toru na ścieżkę. Po kilku sekundach przejechał pociąg”.

Człowiek nie potrafi mówić o tym, że widział śmierć.

Alicja ZATRYBÓWNA
Foto KUCZYŃSKI — Głogów

120 MILIONÓW

(Dokończenie ze str. 1)

stopnia organizacyjnego szkół, przeznaczenia itp. Nad tymi problemami pracuje obecnie specjalna podkomisja Krajowego Komitetu SFBS z udziałem przedstawicieli m.in. oświaty i Instytutu Urbanistyki i Architektury. Przewiduje się, że w ciągu miesiąca powinien się ukazać specjalny album zawierający około 40 projektów typowych szkół i ich liczne warianty. Projekty obejmować będą ponadto orientacyjny kosztorys, który ułatwi terenowym komitetom budowy szkół wybór odpowiedniego wzoru.

W dniach 1, 3 i 17 maja odbędą się w całym kraju publiczne zbiórki uliczne na SFBS.

MORDERCA

(Dokończenie ze str. 1)

nych znalazła się w posiadaniu władz, mordercę aresztowano.

Sprawca potwornej zbrodni, w obliczu niezbitych dowodów, przyznał się podczas przesłuchania do winy. Z uwagi na dobro toczącego się jeszcze śledztwa nie możemy ujawnić dalszych szczegółów koszarnej zbrodni ani nazwiska osoby aresztowanej. Jak nas informuje Komenda Wojewódzka MO, śledztwo jest na ukończeniu i w ciągu najbliższych dni można będzie odsłonić okoliczności i motywy za bójstwa. Szczegółową relację zamieścimy w codziennym wydaniu „Gazety”.

Trzypiętrowy dom w ciągu dwóch tygodni

W Krasnoturysku rozpoczęto budowę serii trzypiętrowych domów z bloków i ścian prefabrykowanych. Wznoszenie każdego domu odbywa się systemem montażowym i trwa tylko dwa tygodnie.

Chcieliśmy abyś spędził z numerem specjalnego wydania „Gazety” miłe chwile.

Druk: Ziel. Zakł. Graficzne Reja 5. R-1

TAJEMNICA TECZKI K-5/VII/46

- 9 -

w swym sprawozdaniu dla władz wojewódzkich.

„Mercedes” poprowadzony przez motocykl ruszył wreszcie z powrotem. Gruba warstwa kurzu uniemożliwiła dostrzeżenie numeru rejestracyjnego samochodu. Ale kto w takiej chwili zwraca uwagę na drobniaki. Przyjaźnie kiwając dłonią wychylał się z samochodu na zakręcie jeden z pełnomocników. Po chwili warok silników umilkł już w oddali.

Mieszkańcy rozchodzili się do domów. U sołtysa zostało na pogawędkę kilku znajomych.

— Ludzie zawsze wywąchają, kumie, co będzie. O tej wymianie, to slyszalem już kilka razy. W miasteczku mówili i nawet ten pijanica, co portrety we wsi w zeszłym miesiącu malował też coś mówił o wymianie, tak, tak...

— Ale wiecie co, ludzie, jakies

- 10 -

dziwne są te nowe pieniądze. Ni te pieniądże ni to obrázky. — Sołtys uważnie przyglądał się banknotowi.

— Kumie, a może poszlibyśmy zobaczyć, jak wymieniają w R. Dwanaście kilometrów, nie bardzo daleko, zaprzęgnę konie i zobaczymy, co?

— Racja, i tak nie ma co robić. Wieczór ciepły, posłuchamy, co mówią ludzie w R.

Parokunka dotarła do R. Byłoby dobrze pod wieczór. We wsi już tylko spekielnie. W kilku oknach paliło się światło. Nie było takiego podniecenia jak w N. Dłwne, przecież pełnomocnicy mówili, że pojedą do R. Czyżby już było tu po wymianie?

Sołtys zapukał w okno do swe go znajomka.

— Jest tam kto? Ja, sołtys z N., otwórzcie..

- 11 -

Na progu w rozchylanej kuszuli stanął gospodarz.

— A to wy, co się stało. Pewnie „Miot” znów kontrybucje na was nałożył. Niech go cholera weźmie. Nie dalej, jak przedwczoraj przejeżdżał przez wieś i zabrał kilka świńskaków i jedną krowę.

— Nie, „Młota” u nas nie było. O co innego idzie. Czy byli u was już z wymianą?

— Z jaką wymianą? — zdziwił się gospodarz.

— To wy nic nie wiecie. Wymiana pieniędzy jest. Byli u nas przed chwilą wysłannicy i wymienili wszystkie pieniądże. Nawet bardzo sprawnie wszystko poszło. Mieli do was jechać. O patrzcie, takie pieniądże teraz będziecie mieli. — Sołtys N. pokazał go spodarzowi kilka banknotów.

— Co też mówicie, a my nic nie

- 12 -

wiemy. Nikogo jeszcze u nas nie było. W gazecie też nie pisało.

Sołtys wyraźnie zaniepokoił się.

— Jakże tak, przecież powiedziałeś, że jadą do R. Nic nie rozumiem...

— Zaczekajmy do rana. Zadzwońmy do powiatu to powiedzą nam. Może pełnomocników „Miot” napadł. Złe nie śpi...

Oficer dyżurny Komendy Powiatowej MO w S. słuchał chwilę spokojnie, w końcu powiedział:

— Obywatelu, nie robicie ze mnie wariata. Bajki opowiedzcie dzieciom. Nie mam czasu na głupstwa. — Gniewnie odłożył słuchawkę. Po chwili aparat znów zadzwonił.

— Słucham, Komenda... co? Znowu wy... Jak zaleziście się, to idźcie spać...

Oficer nie odłożył jednak słuchawki. Uważnie przysłuchiwał

(Z. Szrd.)

TAJEMNICA TECZKI K-5/VII/46

- 13 -

się relacji zdenerwowanego rozmówcy.

— Niebywałe, coś takiego... jak świat światem, ale jak zagalicie to będzie bieda.

Po chwili oficer składał meldunek swemu zwierzchnikowi.

Do N. wyruszyła ekipa funkcyjnaryszu UB i MO. Podejrzewano, że to cwara sprawa „Młota”. Pro tokoly przesłuchań mieszkańców N. pozwoliły odtworzyć przebieg całej afery. To jednak nie był „Młot”!

Ledwie ekipa zdążyła powrócić do S., gdy czekała już dalsza nie spodzianka. Okazało się, że oprócz N. „wymianę” gotówki przeprowadzono jeszcze w dwóch miejscowościach. Przebieg każdej akcji był identyczny. Najpierw list, do starzony przez motocyklistę, później przyjeżdżali pełnomocnicy. Nagli, śpieszyli i po godzinie z gotówką w skrzynce odjeżdżali.

- 14 -

Sprawę powierzono porucznikowi W. z KPMO. Młody oficer męczył się dwa tygodnie. Jeździł to tu to tam. Raz omal nie nadział się na „Młota”. W końcu znalazł pierwszy niły ślad, który wiodł do Warszawy. W stolicy porucznik W. rozmawiał z kolegami w Komendzie Głównej, wysnuwał różne hipotezy, ale sprawy ułotniły się jak kamfora.

Po powrocie do S. sprawę trzeba było odłożyć. Bandy „Młota” i „Huzara” poczynały sobie coraz zuchwalej. Zbliżało się referendum. Teczka z aktami K-5/VII/46 powędrowała na dno szafy. Porucznik W. z automatem na pierśi tropił w lasach, na czele swego plutonu, reakcyjne bandy. Po latach sprawa poszła w zapomnienie i została umorzona.

Porucznik W., inwalida, jest dzisiaj na emeryturze.

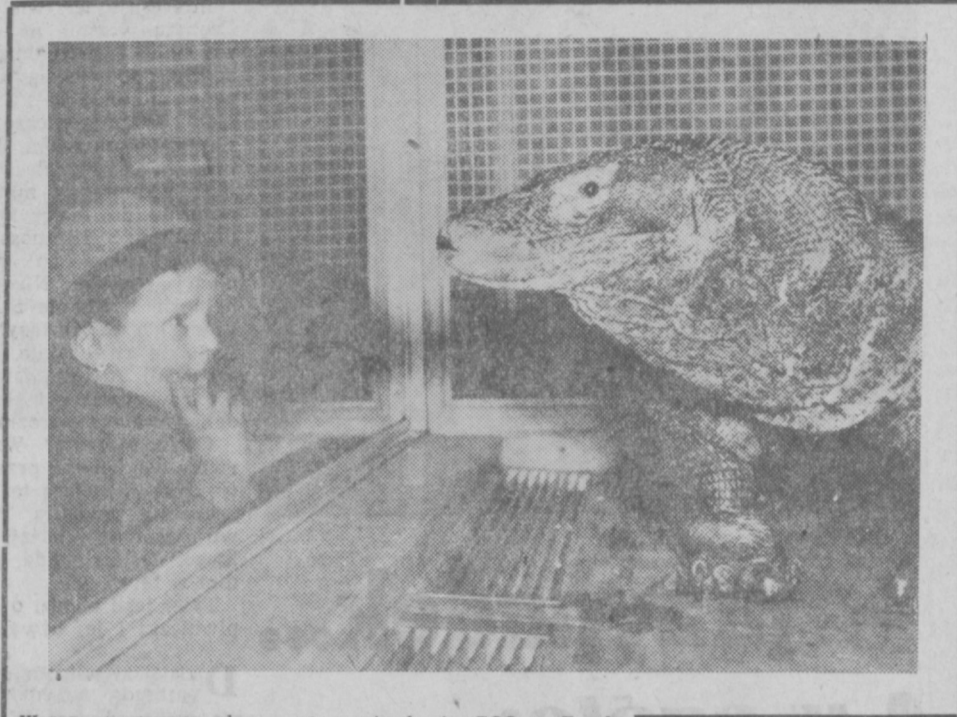
- 15 -

— Musieliśmy wtedy walczyć z innym, groźniejszym niebezpieczeństwem. Poza tym brak było kadry doświadczonych pracowników służby kryminalnej, nie mieliśmy takich warunków, jakimi dysponuje dzisiaj milicja. Do wszystkiego trzeba było samemu dojść. Były niedokładności w śledztwie. Ponieśliśmy porażkę. Dziś taka sprawa zostałaby wykryta w ciągu krótkiego czasu.

Porucznik W. wychylił lampkę wina.

— O podobnej historii nigdy później nie słyszałem. Nie wiem również czy kroniki policyjne innych krajów mają do zapanowania podobny bluff. Po „rzeżnięciu na emeryturę miałem sporo czasu i dużo czytałem. Wydaje mi się, że był to jedyny i bez precedensu wypadek w dziejach kryminalistyki.

Zbigniew SZYDLÓWSKI



Waran — ogromny płaz — nowy mieszkaniec ZOO we Frankfurcie n. Menem. Ma on 2 i pół m długości. Warany są na wymarczu i żyją jedynie na wyspie Komodo (Indonezja). Foto — CAF

czterokrotnej wartości ujawionego przez celnika przedmiotu.

Określenie „pierwsza klasa”

kojarzy się w naszych umysłach z czymś niepospolitym, niepowszednim, oczywiście w dodatku znaczącym. Dotyczy to zarówno życia prywatnego — „pierwsza klasa: ubranie, film dziewczyna itd. (jak i zasad służbowych) pierwszej klasy — zakład, urząd, stacja kolejowa itd. Stąd prosty wniosek. Im wyższa od jedynki cyfra określa klasę, tym mniej można się spodziewać zalet, walorów lub atrakcji. Jeśli więc Urząd Celnny w Rzepinie — placówkę utrzymującą dość częsty kontakt z przedstawicielami z zagranicy — nazwano oficjalnie urzędem pierwszej klasy, to oprócz predysponujących go do tego zapewne za dań powinien się i na zewnątrz czymś niecodziennym wyróżniać.

No i „wyróżnia”. Długi, podzielony na kłitki drewniany barak o podłodze, która ostatni raz czuła na sobie wilgotną szmatkę chyba w okresie podejmowania ubiegłorocznych zobowiązań i o ścianach grozących powalaniem ubrania przy naderknieciu się z nimi. Wygląd mebli i urządzeń biurowych? Lepiej nie wspominać. Szczegółem godnym specjalnej uwagi są znajdujące się prawie w każdym pokoju stylowe umywalki z metalowych, przeźartych rdzą pretów. Między pretami — popielate ręczniki. Dopelnienie scenarii stanowią dwa wiadra na czystą i brudną wodę (wzyski stanowiskiem funkcyjnaryszu mają do dyspozycji dzbanki). Na nie tego rzeczywiście niepospolitego wnętrza odbijają przyjemnie dla oka smukłe sylwetki celników, odzianych w naprawę reprezentacyjne mundury.

Mógłbym sobie w gruncie rzeczy podarować ten wstęp. Nie to bowiem miałem zamiar przedstawić czytelnikom. Ale jeśli się rumienić ze wstydu (już nie przed samym sobą), ale przed Francuzem, Niemcem czy Anglikiem załatwiają cym sprawy w tym właśnie urzędzie, to kupą mieszkańcy Ziemi Lubuskiej. Razem zawsze raźniej, a Międzynarodowe Targi Poznańskie za pasem. Musimy się zawniasu na to przygotować.

Ale dość sarkazmu. Wymierzylem. Czy celnicy? Przyszłość pokaże...

Urząd Celnny w Rzepinie jest największy spośród wszystkich kolejowych urzędów celnnych (są jeszcze portowe i lotnicze) w kraju. Odprawia się tu zarówno pociągami pasażerskimi, jak i towarowe. Odprawa transportów towarowych odbywa się podczas postoju na stacji w Rzepinie, natomiast odprawa osób wyjeżdżających za granicę lub stamtąd przyjeżdżających — na trasie Kunowice-Zbąszynek, a niekiedy Kunowice-Poznań.

Zjawia się wtedy w przedziale uprzejmy (z roku na rok coraz bardziej) urzędnik w seledynowym mundurze ze srebrnymi dystyngcjami służbowymi, salutuje i — zgodnie z przepisami, zrozumiałym dla podróżnego językiem (a jeśli Chińczyk lub Turcyk?) pyta:

„Czy przewozi pan(i) towary podlegające ocenie?”

Nikt nieznaną sobie przez pisów celnnych tłumaczyć się nie może. Jeśli podróżny głosi, że tak, pokazuje jakże to są towary, opłaca cło (obojętnie w jakiej walucie) i wszystko w porządku. Jeśli zaś celnik ujawni, że podróżny przewozi towar podlegający ocenie, podlega on (oczywiście podróżny) rygorystycznym sankcjom wynikającym z artykułu 47 prawa karno-skarbowego z 1933 roku.

Zadość czyniąc prośbie moich miłych rozmówców, zastępcy naczelnika urzędu Komisarska i kierownika wydziału karnego Kurasińskiego, podkreśliam w tym miejscu, że opłaty celne w Polsce przedwojennej były bardzo wysokie. Np. za jedno przywiezione z zagranicy cygaro opłacało się 5 złotych cła, za kapelusz damski z przybraniem — 100 złotych.

Powracam jednak do tematu. Podróżni nie czekają oczywiście na zlagodzenie przepisów celnnych. Często przewożą (unikam słowa przemycają) artykuły podlegające ocenie i w konsekwencji narażają się na konfiskatę towaru oraz sztywne sięgająca nieraz

Czy ma pan coś do oclenia?

Sporo zebrało się już w tzw. rejestrze (pięciokilogramowe tomisko prowadzone od 14 lat) osób, które weszły w kolizję z art. 47 prawa karno-skarbowego. Zdarza się jednak, że zamiast nazwisk figurują w odpowiedniej rubryce litery NN, ponieważ w obawie przed konsekwencjami niektórzy ukrywają bagaż z „lewym” towarem pod ławką lub w kącie przedziału. W przypadku ujawnienia go przez celników, nikt z nich do niego się nie przyznaje.

Ale swoja drogą nasi celnicy mają do niego nosa. „Wywachali” np. że pan W. K. z Warszawy spał w wagonie sypialnym z... maszyną trykotarską. Pan Wójcik z Bydgoszczy zapewniał, że nie ma do oclenia, mimo to celnicy znaleźli przy nim złote koleczyki ozdobione czterokaratowymi brylantami,

Maszyna - egzaminator

Na Uniwersytecie w Hamilton (stan Nowy Jork) zainstalowano maszynę, która może zastępować egzaminującego profesora. Maszyna-egzaminator ma tę wielką zaletę, że nie można podsądzić jej o stronniczość. Aparat wyposażony jest w mikrofilmy, na których wypisane są pytania i odpowiedzi. Student przystępujący do egzaminu widzi na ekranie aparatu pytania, na które ma odpowiedzieć. Odpowiedzi zdającego zapisywane są również na taśmie filmowej.

Po naciśnięciu z kółki odpowiedniej dźwigni, student ma możliwość skonfrontować na ekranie swoją odpowiedź z poprawną odpowiedzią maszyny.

Aparaty tego typu używane są na egzaminach z języków obcych oraz z matematyki i psychologii.

Opisana maszyna — w pewnym sensie ma stanowić już szczyt osiągnięć techniki pedagogicznej. Budowy maszyn zastępujących studentów nie przewiduje się.

przedstawiającymi według rzeczoznawców wartość 200 tys. zł.

Cudzoziemiec Ginter Thom przyjechał do Polski z naręczoną. Nie zadeklarowali oni nic do oclenia i gdyby nie fakt, że wrocławski celnik zaprzagnął obejrzeć zawartość torebki młodej cudzoziemki, udało by im się wwieźć 1.8 kg złota w sztabkach o próbie 999.9. Skończyło się na konfiskacie złota i opłaceniu 5 tysięcy dolarów kaucji. A obci gu grozi areszt.

Niektórzy podróżni ukrywają w różnych częściach garderoby całe arsenały zegarków, magazyny jedwabnych chustek i wcale pokazuje ilości sztucznej biżuterii. Kiedy podejrzana o przemyt jest kobieta wprowadza się ją do osobnego przedziału i celnik-kobieta przeprowadza drobniagową rewizję osobistą. Jedną z podróżnych, u której znalazłono w... desous kilka kilogramów sztucznej biżuterii dawała ponoć słowo honoru celnicze, że... wcale nie wie kto to uczynił.

bu państwa, a Grabowski musi zapłacić 27 tysięcy grzywny, jakkolwiek cło za cały ten bagaż wyniosłoby jedną trzecią wymienionej sumy. Bracia Łukomscy wzięli „tylko” 57 tysięcy złotych. Orzeczone przepadek mienia i 69 tys. zł grzywny. Ciastowska spotkał podobny los: 2770 zł grzywny za usiłowanie prze wiezienia 3.700 złotych Leszek Drogosz wioził 27 par nylonów...

Tak, to jest przykre. A więc o czymś przyjemniejszym. Celnik Tadeusz Ostaszewski zauważył w ubiegłym roku pozostawiony w przedziale wagonu futerał ze skrzypcami. Sporządził protokół, przywioził skrzypce do Rzepina i tu oczekiwały one na ewentualne zgłoszenie się właściciela. Nie minęło więcej niż 48 godzin, a już departament kultury przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych zwrócił się do rzepińskiego urzędu zapytaniem czy przy padkiem nie znalazłono skrzypiec z dwoma smyczkami. Był to drogienny „Qarnerius” w 1705 r. Pozostawił go przez roztargnienie powracający przez Polskę po koncertach w Moskwie światowej sławy wirtuoz L. Friedman, Uczestwo — nie minie chyba nagroda.

Obecnie celnicy przeżywają „gorące dni”. Podczas gdy w normalnych warunkach ilość osób wyjeżdżających i przyjeżdżających z zagranicy wynosi do 800 dziennie, obecnie na same tylko Targi Lipskie wyjeżdża codziennie 800 podróżnych.

Ledwie celnicy zdążają ochłoniąć, a zacząć już przyjeżdżać handlowcy, przemysłowcy no i goście na Międzynarodowe Targi Poznańskie. Prawie 200 dziennie w każdą stronę. Taką ilość podróżnych pracowników Urzędu Celnego w Rzepinie mimo najszczerzejszych chęci nie będą w stanie sami obsłużyć. Ściągnęli się wtedy „po silki” z innych urzędów celnnych. I w sumie pracowałyby się bardzo dobrze gdyby doprowadzono wygląd wewnętrzny i zewnętrzny budynku Urzędu Celnego w Rzepinie chociażby do... kulturalnego poziomu.

JÓZEF JARECKI



Dwie egzotyczne modelki

Foto — CAF

Węgierska ceramika



WOJEWÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLU — MEBLAMI w Zielonej Górze

prowadzi:

w szerokim asortymencie sprzedaż mebli dziecięcych, komisowy skup, i sprzedaż mebli używanych oraz renowację mebli stolarskich, i tapicerskich w Zielonej Górze, ul. Długa 2

O bywalcach „Sezamu” krąży różne opinie i nie zawsze najlepsze.

Jeden z moich znajomych „Sezamek” straszy żonę. Zaczyna wtedy: „Byłem wczoraj w „Sezamie”. Ech, takie babki...” Określenie poparte charakterystycznym ruchem ręki odnosi zamierzony skutek.

Niechętnie podobno spogląda na „Sezam” Komitet Wojewódzki ZMS. Ta młodzież jest jakaś inna, ma swój styl ubierania się i zachowania.

Niedawno przyszli do „Centralki”. Kilku chłopców krótko ostrzyżonych i dwie panienki ubrane skromnie ale według kanonów najnowszej mody. Wszyscy w wieku mniej więcej około 20 lat. Wbrew przewidywaniom sceptyków — nie rozrabiali. Tańczyli nowocześnie ale kulturalnie. Sprawiali wrażenie młodzieży inteligentnej. Zwracali uwagę swoją odmiennością od otoczenia. O północy trzeźwi opuścili lokal.

Spotyka się ich też czasem w „Palomii” przy kawie. Młodzież, o której zwykło się mówić, że jest bezideowa.

Wręcz karkołomne schody prowadzące do piwnicy Biblioteki Wojewódzkiej, wspólny dla wszystkich piwnic zapach wilgoci, kawałek korytarza i maleńkie locum, które ze składu węgla awansowało do miejsca na młodzieżowej piwniczki. Prozaiczną przeszłość ścian starają się przesłonić krzyżące napisy w rodzaju: „Nie da ci ojciec, nie da ci matka, tego co dać ci może dobra sąsiadka”, „kocham Ulę”, które nie tyle wygłaszają credo życiowe bywalców; ile mają nadać piwnicze pozory wielkomiejskiej i oryginalnej. Pachnie to dziecinadą.

Na razie zastajemy trzech młodzieńców zamiatających beznadziejnie brudną podłogę. Z rur kapie woda. Pierwszego wrażenia w żaden sposób nie można zaliczyć do najlepszych.

Do normalnych zajęć pozostaje jeszcze godzina. Mamy więc trochę czasu, by zapoznać się z metryką młodzieżowego klubu.

A więc młodzieżowy klub „Sezam”... Ale dlaczego właściwie „Sezam”? Ojca chrzestnego nikt

MATKĄ była ciasnota OJCEM



Tu „Cybulski” w zielonogórskim wydaniu. W rzeczywistości podobieństwo jest wręcz uderzające.

nie pamięta. Ktoś tę nazwę nadał i już. Teraz jest wspólna. Jeden z bywalców wyjaśnia: Bo „Sezam” to skarby, a czy młodzież nie jest skarbem? „Sezam” urodził się w marcu



- przypadek... A w ogóle:

ubiegłego roku na zebraniu młodzieży dyskusyjnej o sobie. Uczestnicy zebrania, przeważnie młodzież szkolna, wygłosili wtedy swoje credo:

Nie jesteśmy bezideowi, mamy swoje ideały, zainteresowania, pasje. Ale chcemy, by traktowano nas poważnie, by liczą no się z naszym zdaniem.

Byli to ludzie bardzo młodzi, wchodzący dopiero w życie, nie związani z żadną organizacją, uprzedzeni do jakichkolwiek rygorów, zadań i poleceń. Oświadczyli, że chcą dyskutować bez wycieczek i bawić się bez nadzoru. To była grupa młodych z Koła Przyjaciół Biblioteki.

Matką piwniczki był przypadek. Zrodziły ją trudności lokalowe. Młodzież chciała gdzieś dyskutować, zbierać się. Od dyrekcji biblioteki otrzymała piwniczkę nie większą niż 15 metrów kwadratowych. Nadała jej baśniową nazwę. Ale i pierwotna nazwa Koła Przyjaciół Biblioteki pozostała. Pozostał również dobry wujek i przyjaciel dyrektor Engel.

Zbiera się tych skarbów w piwniczce ponad setkę. Młodzież szkolna, studenci bawiący na urlopach dziekańskich,

jak się wam podobamy?

dziećmi. Chcą, by traktowano ich poważnie. W murach biblioteki czyni się temu żądaniu zadość. Jak najbardziej serio rozpatruje się każdy ich projekt.

Można nimi świetnie kierować. Nie noszą jednak rygoru i rozkazowania. Chcą być samodzielnymi. Sami ustalają co chcą robić na następnym spotkaniu, nad czym chcieliby dyskutować, z kim się spotkać. Funkcje opiekuna ogranicza się do roli doradcy i człowieka, do którego zwracają się z kłopotami osobistymi, z prośbą o znalezienie pracy, o rozstrzygnięcie wątpliwości. Trzeba przyznać, że w wypadku „Sezamu” wybór opiekuna pana P. był bardzo szczęśliwy.

W piwniczce nie ma regulaminu, statutu. Tu nikt nic nie musi, nie powinien, nie ma obowiązku przychodzenia. Przychodzą więc wszyscy, grają w zespole jazzowym, malują w ognisku plastycznym, jest grupa, która para się piórem, dyskutują na zebraniach, biorą czynny udział w wieczorach autorskich. Nikt tu niczego nie przygotowuje. Ten kto przyjdzie wcześniej bierze miotłę i zamiatą, sami wnoszą krzesła i wynoszą. Są to wszyscy czują się u siebie. Są czupurni, żywi i młodzi nie tylko wiekiem.

Interesuje ich wiele spraw. Czekają właśnie na odczyt o psychologii seksualnej, który będzie odpowiedzią na złożone anonimowo kartki z pytaniami. Planują wieczór ze Zdzisławem Morawskim. Jakiś entuzjasta sceny znalazłby wśród nich wymarzony materiał na aktorów do teatrzyku. Lubią dyskutować. Nie noszą jednak poklepywania po ramieniu, nabierania. Niedawno od było się spotkanie z autorem, który ich zlekceważył. Zachowali się kulturalnie. Nie protestowali. Ale w dyskusji nikt nie powiedział ani słowa. Podobno prelegent zrozumiał.

Co zamierzają? Wzbogacać swoje wiadomości przez odczyty, dyskusje. Chcą też wyjść z pracą na zewnątrz. Przygotowują montaż z poezji Słowackiego. Jeśli się uda, pojedają z nim w teren.

Tyle, jeśli chodzi o rodowód piwniczki i jej bywalców.

Dzisiejszy wieczór poświęcony był „Sezamu” i jego historii. Nie już skończone. Ktoś prosi opiekuna o adapter. Piwniczka się zaludnia. O godz. 18.00 nie trzeba wołać „Sezame, Sezame otwórz się”. Drzwi są na oścież otwarte. Stoją w nich ci, którzy nie zmieszczą się wewnątrz. Dym od papierosów chmurami wędruje na korytarz. W powietrzu można zawiesić siekiere. Ciasnota — największa tragedia bywalców piwniczki. Ale dziś są nastrojeni optymistycznie. Komitet Wojewódzki obiecał im nowe locum przy ul. Nowowiejskiej. Trochę zniszczone. Ale to fraszka. Już są chętni do malowania, do murarki.

Do tańca muzyka z adapteru. Jakimś cudem znajduje się i kawałek miejsca. Ze pot spływa kropkami po twarzy? Obetrze się. Dziewczęta raczej skromne. Ani jednej rozwydrzonej twarzy. Przed północą



Nie wszyscy są rozbawieni. Spotyka się i twarze sentymentalne, może zakochane?

wszystko się kończy. Jutro wy niesie się krzesła.

I to o tej młodzieży mówić się, że złota, że taka, owaka? Z takim właśnie można robić cuda. Tylko... trzeba umieć do niej podejść. A może nam nie wierzyć? Pójdźcie sami. Nie trzeba wołać: „Sezame, Sezame otwórz się”. Wstęp wolny dla wszystkich. Tylko pamiętajcie: Zachowywać się kulturalnie i nie rozrabiać.

E. Pawłowska

Zdjęcia: J. Czartowski



Tym razem pech. Trzeba spokojnie odsie dzieć i zaczekać na metr wolnej podłogi do tańca.



Dorwał się człowiek do „parkietu” i jak tu się nie cieszyć?

Ubezpieczenie na życie

zapewnia pomoc materialną rodzinie w razie utraty jej żywiciela albo najbliższego członka rodziny



75 tys. pracowników w 615 zakładach pracy woj. zielonogórskiego już korzysta z ubezpieczenia

Czy zastanowiłeś się dlaczego w twoim zakładzie pracy dotychczas nie ma jeszcze

grupowego ubezpieczenia na życie

Państwowy Zakład Ubezpieczeń

pracujący i szukający pracy ab solwenci liceów. Czego chcą od życia? Większość sama nie potrafi tego sprecyzować. Ich plany i marzenia pachną jak kaźda 20-letnia młodość, przygoda, romantyka, chęcią wyszumienia się, zabicia nudy niewielkiego miasta. Praca i nauka im nie wystarcza. Gdyby nie „Sezam” prawdopodobnie spędzali by wolny czas w kawiarniach, krążyliby po zielonogórskim deptaku, piliby wódkę pod „Orłem”, lub w „Zielonogórzance”

W „Sezame” nie piją. Nie piją i nie szumią nawet ci, którzy do niedawna uchodzili w Zielonej Górze za „rozrabiaków”. Zmienili się. Musieli się zmienić. Inaczej nie mogliby bywać w „Sezame”. O wejściu do piwniczki decyduje jeden warunek: Zachowuj się kulturalnie, nie rozrabiaj. Trzeba przyznać, że w ten jest gorliwie przestrzegany.

Młodzi twierdzą, że nie są

Magda Dębata, matorolna chłepka z Lippek Matych, kręciła gałką telewizora i kłęta w niebogłosy:

— Znowu ta jędra Burakowa rzuciła uroki, bo nic na ekranie nie widać!

— Nie gwarzcie byle czego, kumo — dziwiła się sąsiadka, Aniela Skwarek.

— Burakowa zauroczyła? Burakowa rzuca czary jeno na kozy i prosięta. Zeszłego roku spojrzęła na moją maciorę i ta na poczekaniu zdechła.

— Burakowa zrobiła się postępowszą! — upierała się przy swoim Dębata. — Dziś inne czasy. Na telewizory i radia się przeczuciła.

Na motory też!

— Na motory też, powiadacie? — dopytywała się skwapliwie Skwarekowa.

— To może i na piecyki elektryczne; bo mi się piecyk wciąż psuje.

Dębata ciężko westchnęła; o motorach wiał na pewno. Jesienią to było. Za raz raniutko zaczęło mi dzwonić w lewym uchu.

Oho, myślę sobie, źle! Robię śniadanie, a tu raptem sól mi się na ziemię rozsypuje. Co więc cej! Wstaje mój stary z łóżka i najpierw zakłada lewy but na nogę. Omen!

— Cosik się złego stanie, mówię do niego. Uważaj na siebie Józus!

— O rany! — pisknęła Aniela Skwarekowa.

— I co wtedy zaszło?

— Dyć słuchajcie — ciągnęła opowiadanie Magda. — Jedzie sobie mój stary na „Jawie” a tu raptem za usią przelatuje mu drogę kot Burakowej. Czarny i ślepa mu się świecą naszym jarzeniówki. Mój stary, człowiek pobożny, natychmiast zatrzymał motor, zdjął czapkę i kilka razy się przeżegnał, aby złe odegnąć. A kocisko nic, tylko języ przbieł, kurczy się i wydłuża, zaś te ślepa tak mu się jarzą, tak jarzą...

— O rany! Mówcie szybciej, bom ciekawa!

— dopytywała się Skwarekowa.

— Mój stary łap za pompkę i dalej kota gonąć, aby go nawrócić z drogi. Kot za ogrodę, mój stary, za nim, kocur dratuje przez łąki,

mój stary dratuje za nim. Kot hyc na topole, mój stary...

Też hyc? — dopytywała się pilnie Skwarekowa.

— Nie, nie hyc. Wraca z powrotem na drogę, a tu motocykl zniknął. Ani śladu po nim.

— O Jezusiku! Pewnikiem złe wzięło! — domyślała się Skwarekowa.

— Pewnikiem. Burakowa sztamę z diabłem trzyma.

— Ze też nie ma na nią sposobu!

— Dyć nie ma. Był już tacy, co to ukradkiem w nocy zakopali jej pod progłem kobylki łeb — i nic.

— Jak to? Kobylki łeb zakopali i nawet nie zachorowała ta jędra? — zdumiewała się sąsiadka Magdy.

— Za inszych czasów wiedźmy wrzucano do wody — rozkliwiała się Dębata. — Jak się wiedźma utopiła, znaczyło, że jest niewinna. A jak pływala po wierzchu, zaraz było wiadomo, że winna i paliło się ją na stosie.

— Burakową trza byłoby do stawu rzucić.

— Ba! A czy to milicja wyda rozstolenie?

— Chyba nie wyda — wąpiła Skwarekowa. Ale taką jędrę warto przynajmniej w łaźni dobrze wykapać. Do parowej łaźni z taką cholerą!

Feralny dzień

Miła rozmowa sąsiadek została przerwana na chwilę wejściem Macieja Dębiatego. Właśnie powracał z miasta.

— Stary, a kupiłeś wiadewko? — zadała mu pytanie Magda.

— Nigdzie ni ma!

— A sitko do mleka?

— Tyż ni ma.

— Żarówku do latarki?

— Ni ma.

Magda Dębata stuknęła się w czoło.

— Racja! Ze też wcześniej ci o tym nie przypominałam. Dziś trznastego. Feralny dzień...